



Burza
KOLORÓW
Damian Dibben

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE COLOUR STORM

Copyright © Damian Dibben 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcia na okładce: ghensdie/Shutterstock (*przybory malarskie*);
vector_ann/Shutterstock (*pędzel*); Morkhatenok/Shutterstock i Woodhouse/Shutterstock
(*elementy architektoniczne Wenecji*); pikisuperstar/Freepik (*tęczowe kolory*);
kjpgarqeter/Freepik (*plamy i kleksy*); rawpixel.com/Freepik (*złote plamy*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

Sześćdziesiąt lat później. Rzym. Styczeń 1570

Młody mężczyzna czeka przed drzwiami pałacu na Kwirynale. Jeszcze nie zapukał. Próbuje się opanować. Jest zimno, nie pamięta chłodniejszego stycznia. Mróz szczypie go w oczy i kąsa gołe ręce; mężczyzna w jednej trzyma teczkę, a drugą ściska pod szyją kołnierz płaszcza. Dłonie z zimna zrobiły się stalowoniebieskie, z wyjątkiem czubków palców, gdzie wgryzła się farba – róż perski, grynszpanowa zieleń, żółty aury pigment – z płótna *Zemsta wdowy, Giuditta*, nad którym pracował przed wyjazdem do Rzymu.

W liście napisano, że bez trudu znajdzie w pobliżu koszar miejskich rezydencję w stylu mauretańskim z fasadą jakby wykutą ze srebra, ale przechodził obok niej kilka razy i jej nie rozpoznał. Spodziewał się wspaniałego pałacu – list z pewnością to sugerował – lecz jeśli budowla była kiedyś wspaniała, to czasy jej świetności dawno minęły.

Czuje się oszukany, bo zadał sobie wiele trudu, by dotrzeć do Rzymu. Ma za sobą okrutne godziny telepania się w ciasnych dylizansach, przesiadki przy wtórze jazgotu woźniców, skąpe posiłki, nieprzespane noce i bezustanne wrażenie, że zaraz zamarznie. Gdy w końcu przybył do miasta, opadł go lęk, że jego podniszczony strój zepsuje ważne pierwsze wrażenie, więc za ostatnie pieniądze sprawił sobie nowy płaszcz, który okazał się drapiący, źle dopasowany i

niechroniący przed wiatrem.

Puka i po chwili słyszy szuranie stóp, widzi przez okno kołyszające się światło latarni. Rygle wysuwają się z chrobotem i w szczelinie uchylonych drzwi pojawia się twarz starszego wiekiem sługi.

– Domenikos Kopoulos – przedstawia się młody człowiek, mając już w zwyczaju skracanie swego nazwiska. – Z Wenecji. Malarz.

– Tak, tak – mruczy sługa i wpuszcza go do środka.

– Przepraszam, że przybywam tak późno. – Domenikos rozgląda się, zawiedziony, że również wewnątrz nie wskazuje na to, by w tym domu mieszkały pieniądze. – W ostatnim liście, który otrzymałem, napisała pani, że sprawa nie cierpi zwłoki – mówi i dodaje znacząco: – Podała mi pani adres, nadal jednak nie znam jej nazwiska.

Przecież zasłużył na to, by wiedzieć, z kim ma do czynienia. Sługa rozkłada ręce.

– Tak, tak. Proszę poczekać tutaj. – Idzie chwiejnym krokiem w głąb korytarza, do pokoju, i chwilę później dobiegają stamtąd odgłosy otwieranych szafek i brzęku szkła.

Domenikos wodzi wzrokiem dokoła. Hol jest pusty, ściany pokryte plamami wilgoci i miejscami wykruszone. Najbardziej niepokoi go brak dzieł sztuki, chociaż jaśniejsze miejsca wskazują, że kiedyś musiały wisieć tu obrazy. W liście do niego, podpisanym *Kolekcjonerka*, kobieta pochwaliła jego prace i wykazała się, o dziwo, szczegółową wiedzą o nich – nawet o tych, które namalował na Krecie przed wyjazdem do Włoch. Stwierdziła, że jest odpowiedni do obmyślnego przez nią zadania, nie wyjaśniła jednak, na czym ma ono polegać, i nie podała żadnych informacji o sobie. Założył – bo czemu nie? – że jest bogatą klientką, która chce pozostać anonimowa. Tak czy inaczej, wysłała mu pieniądze na pokrycie kosztów podróży do Rzymu – i to przesądziło sprawę.

– Tędy, tędy – mamrocze sługa, drepcząc ze srebrną tacą w trzęsących się dłoniach. Na tacy podzwania karafka brandy z dwoma kieliszkami. – Na górę, na górę. – Rusza po schodach do galerii na piętrze. – Nie czuła się dzisiaj dobrze, ale twoja wizyta z pewnością ją ożywi.

Domenikos idzie za nim i od razu spostrzega zmianę natury światła; w połowie schodów przez okno wlewa się perłowy blask, bezlitośnie obnażając wszystko, cały ten rozkład. Za szybą tańczą białe płatki.

– Śnieg w Rzymie?

Spogląda przez okno i widzi, że miasto jest już oprószone śniegiem. Stare Forum przemieniło się w baśniowe królestwo. Sięga wzrokiem dalej i niespodzianka: na grzbiecie wzgórza naprzeciwko wznosi się nowa bazylika Świętego Piotra. Odkąd tu przybył, tylko migąła mu za budynkami, tu abstrakcyjny narożnik, tam fragment kopuły. Myślał, że została ukończona – czyż wszyscy tak nie twierdzili? – ale całe partie ścian są obstawione rusztowaniami i drabinami, a stukot młotów niesie się na Kwirynał po drugiej stronie doliny.

Sługa prowadzi go do dużego ciemnego pokoju. Domenikos najpierw dostrzega ogień, który płonie w obłożonej kaflami jakby szafie pod ścianą, trochę podobnej do pieca kowalskiego, choć bardziej ozdobnej. Drzwiczki są uchylone i wewnątrz buzuje płomienie. W cieniu za piecem siedzi przy stole kobieta. Sługa stawia przed nią tacę i idzie dorzucić szczap do ognia; pogrzebaczem przesuwając ją w głąb paleniska, po czym zamyka drzwiczki.

– Podejdź bliżej. – Kobieta kiwa dłonią w rękawicze.

– Signora.

Kobieta macha ręką i Domenikos się do niej zbliża.

Powstrzymuje się przed zapytaniem, kim ona jest.

– Osobliwy kominek – mówi. – Ceramiczny? Widziałem taki

w pewnym domu nad Morzem Czarnym, ale nigdy we Włoszech.

– W Niemczech są wszędzie. Przyjechało stamtąd kilku specjalistów, żeby go zainstalować – odpowiada kobieta. Poświstuje jak stara harmonia i mówi z akcentem, którego Domenikos nie umie zidentyfikować. – Trzyma mnie przy życiu – dodaje.

Ostatnie słowo więźnie jej w gardle. Kobieta krztusi się i przez długą chwilę męczy ją atak kaszlu.

Domenikos próbuje zobaczyć jej twarz, ale pod nakryciem głowy widać tylko ciemną pajęczynę zmarszczek.

– Jak minęła podróż? – pyta go kobieta.

– Burzliwa, zimna, momentami bolesna. – Gdyby przebywał w bogatszym domu, najpewniej zachowałby te żale dla siebie. – Nie jestem stworzony do podróżowania. Ani do zimy. Nie mam na sobie tłuszczu, by mnie ogrzewał.

– Wszyscy o tobie mówią. Jesteś młodym pretendentem do korony. I Grekiem. Kreteńczykiem. Zwą cię Grekiem, prawda? Krzepiący przydomek. Oznacza, że jesteś rozpoznawalny.

– Mam nadzieję. Chyba że nie podoba im się, że jestem cudzoziemcem.

Kobieta kiwa głową, być może ze zrozumieniem.

– We Włoszech, jak domyślasz się po mojej mowie, też jestem cudzoziemką.

Wyjmuje korek z karafki, żeby nalać brandy, ale ledwie ma siłę ją unieść. Szyjka naczynia pobrząkuje o brzeg kieliszka. Domenikos robi krok, żeby jej pomóc, ona jednak odprawia go ruchem głowy. Nie oferuje mu drugiego kieliszka, a on nie prosi.

– Z listów od ciebie, pani, nie wynika, o jakie zamówienie chodzi.

– Nie ma żadnego zamówienia. – Kobieta przykłada kieliszek do ust, zwilża je i wypija łyżeczek. – Proponuję coś innego. To twoje szkice? – Wyciąga artretyczną dłoń ku teczce. – Pokaż. Samuele!

Sługa bierze teczkę i kładzie ją na stole, obok stawia lampę. Rozwiązuje tasiemkę, otwiera teczkę i wychodzi z pokoju. Kobieta przygląda się pierwszej pracy. To szczegółowy szkic obrazu, z którego młody człowiek jest najbardziej dumny, *Wypędzenie przekupniów*. Tworzenie go od początku do końca było objawieniem. Jezus pośrodku przywodzi na myśl niewzruszonego generała, a wokół niego trwa chaos. To historia opowiedziana kolorem. Signora przez kilka minut wpatruje się w karton, mrugając, po czym dotyka go palcem w rękawiczce.

– Szkicujesz w oleju?

– Tak, dla żywości koloru.

Przegląda szkice, dwa tuziny, które wybrał spośród setek, a nawet tysięcy. W większości są to nowe prace, powstałe w ciągu trzech lat, które spędził w Wenecji. Zauroczyły go tamtejsze opowieści, a czysty dramatyzm miasta zainspirował do namalowania świętego Franciszka, Gabriela i Mojżesza nie w postaci ikon, jak kiedyś na Krecie, lecz jako żyjących, oddychających ludzi. Domenikos patrzy dokoła i dostrzega na ścianie płótno – jedyną ozdobę w tym pokoju, w całym domu. Mruży oczy, ciekaw, co przedstawia, ale w półmroku dostrzega niewiele więcej nad to, że jest to portret kobiety.

– Nie potrzebuję od ciebie żadnego obrazu – mówią kobieta, zamykając teczkę po przejrzeniu wszystkich rysunków. – I tak byłoby go szkoda dla oczu z kataraktą. Mam... Jak to najlepiej ująć? Mam wiedzę. Mogę przekazać ją tylko jednej osobie. Wielu wzięłam pod rozwagę, zanim zdecydowałam się na ciebie. Te rysunki dowodzą, że dokonałam słusznego wyboru.

– Wiedzę?

Młodzieniec nie jest w stanie ukryć rozczarowania i brzmi ono wyraźnie w jego głosie. Tonie w długach, których bez zamówienia nie zdoła spłacić, i nie przybył tutaj po wiedzę.

– Cenną wiedzę. Byłoby niewybaczalne, gdybym zabrała ją

ze sobą do grobu. Byłoby to niesprawiedliwe wobec tych, którzy wiele ryzykowali w dążeniu do niej. A stoję już nad grobem. Setki razy przemierzyłam ten kontynent i mam słabe kości. Gdy próbuję chodzić, jest tak, jakbym stąpała po lodzie. Umierają już nawet dzieci moich rówieśników. Sprzedałam wszystko. Pałac jest pusty. Wszystkie moje meble zniknęły, a także obrazy z wyjątkiem tego tutaj. Pozostało mi tylko to ostatnie zadanie. – Robi krótką pauzę, po czym pyta: – Co wiesz o malarzu Giorgiu Barbarellim? – Przypatruje mu się uważnie.

– O Barbarellim?

– Z Castelfranco. – Po chwili wyczekującego milczenia dodaje: – Może bardziej znanym jako Giorgione.

– Giorgione, tak, znam go trochę.

– Trochę? – Nie na taką odpowiedź liczyła. – Jakie jego obrazy widziałeś?

– Hm... nie przypominam sobie, bym jakieś widział.

– Nie? Czy nie musicie studiować wielkich dzieł, gdy się uczycie?

– Robimy to, oczywiście.

– Nie widziałeś jego *Burzy* ani *Wenus śpiącej w lesie*? Ani nastawy w Castelfranco, gdzie można zobaczyć kolory świeże jak w dniu, kiedy zostały nałożone? Mimo że przez sześć lat mieszkałeś w Wenecji?

– Widziałem wiele obrazów Tycjana – oznajmia młody człowiek, przekonany, że ci dwaj byli rówieśnikami. – Jest ich w Wenecji mnóstwo.

– Nie mówię o Tycjanie. – Jej głos jakby znajduje się w wyniszczonym ciele. – Tycjanowi dane było długie życie. I szczęście po sam jego kres. Zmarł jako sędziwy człowiek, we własnym łóżku, w otoczeniu rodziny. Mówię o Giorgionem. Jeśli jesteś malarzem, który chce odcisnąć piętno na świecie, Giorgione powinien

zawsze zajmować poczesne miejsce w twoich myślach. Wszak on zapoczątkował to wszystko. Był kolorystą.

Milknie dla złapania tchu, a Domenikos zastanawia się, co dokładnie „zapoczątkował” Giorgione. Nazwisko tego malarza rzadko wpływało podczas lat jego terminowania, natomiast dzieła Tycjana studiowano w nieskończoność.

– Odszukam go natychmiast po powrocie do Wenecji – obiecuje. – Czy to jego dotyczą twoje informacje, pani?

Signora unosi łaskę i wskazuje nią jedyne tu dzieło sztuki.

– To jego.

– Giorgionego?

– Obraz nie został ukończony – mówi cicho kobieta. – To ja. – Przez chwilę słycać tylko trzask ognia w piecu i stukot młotów z drugiej strony doliny. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia osiem.

– Byłam mniej więcej w twoim wieku, kiedy poznałam Zorza; znaleźmy go pod tym imieniem. W twoim wieku zrozumiałam, czego wszyscy szukamy, w taki czy inny sposób, co jest przedmiotem westchnień każdego artysty, co jest powodem, dla którego budzimy się rano i uciekamy w sen po zapadnięciu nocy.

– Miłość?

– Kolor.

Domenikos powoli unosi kąćki ust w uśmiechu.

– Gdy po raz pierwszy weszłam do jego pracowni – kontynuuje signora – poczułam się jak w innym świecie. Nie wiedziałam nic o tym, jak powstają obrazy ani jak wyczarowuje się kolory: azuryt, karminowe jezioro, różowy chalcedon, cynober, realgar, żółcień ołowiową, czern kostną.

– Tak, tak. – Domenikos kiwa głową, a jego entuzjazm rośnie. – Byłam taki sam.

– Niewiele też wiedziałam o świecie, o wstrząsach

rozdzierających go u zarania tego stulecia, kiedy idee rozświetlały kontynent niczym wybuchające pożary. Kiedy nikt nie wiedział, czy te pożogi przyniosą światło, czy może spalą nas wszystkich. Kiedy malarze byli tak przepętnieni pomysłami, nienasyчени, zbuntowani przeciwko wszystkiemu, co było wcześniej, że opisano tę epokę jako burzę kolorów. I nie wiedziałam nic o nowym kolorze, o wielkiej tajemnicy, która odmieni moje życie.

– Co to za kolor?

– Taki, jakiego nigdy wcześniej nie widziano, jakiego nikt nigdy nawet sobie nie wyobrażał. Ludzie byli gotowi za niego umierać. On był przygotowany na śmierć. Mój ukochany. Moja bratnia dusza.

Domenikos zastanawia się, czy dobrze usłyszał.

– Był przygotowany na...?

Z zewnątrz dobiega krzyk, rytmiczny huk bębnow i tupot – najpewniej straż miejska w sile setki ludzi rozpoczyna marsz z koszar w dół wzgórza. Gdy przechodzą obok *palazzo* i podeszwy butów uderzają w zamarzną ziemię, podłoga się trzęsie i kurz opada z sufitu. Kłoda osuwa się w piecu i otwiera drzwiczki. Snop blasku pada na pokój, oświetlając kobietę przy stole.

– Zostaw – mówi, kiedy Domenikos idzie zamknąć drzwiczki. – Daj mu pooddychać. Usiądź tak, żebym cię widziała.

Domenikos podchodzi i zajmuje krzesło naprzeciw niej. Teraz widzi jej twarz. Skóra jak blady pergamin, pokryta żyłkami i przebarwieniami, opina jej drobną czaszkę. Kobieta ma proste plecy i długą szyję, a pod warstwami czarnego tiulu jest chuda jak patyk. Domenikos ma wrażenie, jakby patrzył na sam czas.

– Przygotowany na śmierć, tak – podejmuje signora. – Jak niektórzy. Są gotowi skoczyć w ogień i do bitwy, wiedząc, że już nie wrócą. Są gotowi to zrobić, by uratować innych.

Karafka i kieliszek grzechoczą przed nią na tacy, powierzchnia brandy drży, gdy tupot żołnierskich butów osiąga apogeum.

Strażnicy schodzą w dolinę na nocne manewry, by strzec swojego miasta. Domenikos czuje przyspieszone bicie serca. I nagły przypływ radości, że przybył do Rzymu. Wie ponad wszelką wątpliwość, że podróż się opłacała, bo znalazł pokrewną duszę. Rozpaczliwie pragnie dowiedzieć się więcej o Giorgionem, o tym, co takiego zrobił, co namalował, co ryzykował, że sześćdziesiąt lat później ta kobieta wciąż jest tak pełna podziwu. Czuje, jak rodzi się w nim światło, przebiega go dreszcz podniecenia. Odżywa, przepełniony uczuciem, którego nie zaznał od miesięcy, może od lat.

Signora kiwa głową i knykциями popycha ku niemu karafkę, a potem kieliszek.

– Poczęstuj się.

Domenikos napełnia kieliszek, wychyla go jednym haustem i chucha, pokrępowany mocnym trunkiem.

– Słucham. Opowiedz mi o nim wszystko, pani – prosi. – I o tej burzy kolorów.

1

Wysłannik zimy

Sześćdziesiąt lat wcześniej

Zorzo zawsze wyobrażał sobie, że mała wyspa Poveglia to miejsce, z którego można wejść do podziemnego świata. Że może jest tam ukryta szczelina i schody prowadzące w głąb ziemi. Fantazjował, że niczym Orfeusz albo Eneasz zstępuje do leżącego w dole ognistego królestwa.

Poveglia jest kupą piasku i błota na południu Laguny Weneckiej. Kiedyś istniało na niej miasto, ale po najazdach sprzed ponad wieku zostało tam niewielu mieszkańców. *Cavana*, kościół i krzywa dzwonnica stoją opuszczone, z rozbitymi drzwiami i zarwanymi dachami; szczątki drewnianych domów w miasteczku służą jako tymczasowe schronienia dla włóczęgów i kryjówki dla przemytników, chociaż nawet oni znikają, gdy w okresach zarazy wyspa zamienia się w nieoficjalne cmentarzysko. Jeśli uważnie przyjrzeć się ziemi, można dostrzec kawałki ludzkich kości. Na stałe żyją tam tylko ptaki – hałaśliwe czaple i mewy, obojętne na pobliską Wenecję. Od ponad stu lat są prawdziwymi władcami Poveglii.

Zorzo siedzi w gondoli, która powoli zbliża się do wyspy.

– Miejmy nadzieję, że mgła się podniesie – zagadnął uprzejmie gondoliera, gdy wsiadł na łódź przy placu Świętego Marka. – Nie spotkaliśmy się wcześniej. Jestem Zorzo, a ty?

Gondolier skrzywił się, jakby urażony pytaniem.

– Tullo. – Odwrócił się plecami i naparł na wiosło.

Podróż z Wenecji trwała niecałą godzinę, ale w tym czasie pogoda się zmieniła. Wzmógł się zimny wiatr, niebo pociemniało do barwy starej cyny i zaczął padać deszcz.

– Tam! – krzyczy teraz Zorzo do Tulla, wskazując starą przystań.

Wiatr kołysze gondolą i spycha ją z kursu, ale w końcu udaje im się podpłynąć wystarczająco blisko. Zorzo zarzuca torbę na ramię i wyskakuje na brzeg.

– Poczekasz tutaj? – pyta. – Nie wiem, jak długo mi to zajmie. Dasz radę przy takiej pogodzie?

Gondolier zawiązuje cumę i chowa się pod markizą łodzi.

– To twoje pieniądze, panie.

Zorzo brnie przez błoto do chaty stojącej niedaleko brzegu. Zatrzymuje się przed drzwiami i nasłuchuje gwaru w środku. Zanim przybył tu po raz pierwszy, słyszał o tawernie na Poveglii tak bardzo złowieszcze, tajemnicze pogłoski, że zastanawiał się, czy naprawdę istnieje. W rzeczy samej, czasami nie istniała: zdarzało mu się przybyć tutaj i zastać ją zamkniętą albo przeniesioną do innej chałupy.

W dali biją miejskie dzwony, obwieszczając południe, choć niebo jest ciemne jak o zmierzchu. Przybył wcześniej, chociaż wie, że Caspien zawsze się spóźnia. Chce szybko ubić z nim interes i za dnia wrócić do Wenecji. Kończy ze swoimi uczniami ostatnie zamówienie, portret młodej szlachcianki, córki hrabiego Lippiego. Zostały jeszcze jej rękawiczki, które są na pierwszym planie obrazu i wymagają co najmniej pięciu rodzajów czerni. W czasie jego nieobecności *garzoni* przygotowują pigmenty. Co najważniejsze, Contarini zaprosili Zorza na wieczór na bankiet do Ca' d'Oro. Pomimo usilnych starań nie uczestniczył tego lata w żadnym ważnym wydarzeniu, ale ten bankiet może nadrobić straty: z pewnością nie zabraknie na nim najzamożniejszych weneckich

mecenasów, z których każdy może być potencjalnym nabywcą nowych obrazów.

Zorzo zsuwa z palca złoty pierścień z szafirem, jedyną wartościową rzecz, którą nosi przy sobie, wkłada go do kieszeni spodni i wchodzi do tawerny. Kilka twarzy spogląda na niego z mroku. Caspiana nie ma wśród nich. Zorzo przechodzi przez izbę krokiem, który według niego sygnalizuje odpowiednią pewność siebie, bo przecież to jego siódma wizyta tutaj, i siada w kącie, skąd przez okno bez szyby ma dobry widok na brzeg. Ogień trzaska w kominku i w jego blasku Zorzo ogarnia wzrokiem typową grupę hultajów skulonych wokół stołów na kozłach: przemytnicy, dezerterzy, włóczędzy i hazardziści. Po raz kolejny przychodzi mu na myśl świat podziemny. Ta tawerna mogłaby być jego przedsiönkiem, w którym gromadzą się dusze, by czekać na osądzenie.

Wyciąga z torby plik papierów i zaczyna je wertować. To rachunki do zapłacenia. Janek, który sprawuje pieczę nad pracownią, od tygodni namawiał go, by je przejrzał, i wielokrotnie proponował, że go wyręczy, on jednak wołał zachować dla siebie ponurą prawdę o możliwości bankructwa – ze względu na morale. „Porachuję wszystko na Poveglii – obiecał Jankowi, zbierając się do wyjścia. – Czekając tam, będę miał mnóstwo czasu”.

Po kilku minutach wpatrywania się w liczby zaczyna mu pękać głowa: czynsz, odsetki od pożyczek, odszkodowania, należności za siemię lniane, płótno, gesso, pędzle, koszt naprawy dachu, którą, jak obiecał właścicielowi domu, już przeprowadza – wszystko to powinno mieć pierwszeństwo przed Caspieniem. Kupuje piwo, wyjmuje z torby laseczkę węgla drzewnego i odwraca jedną z kartek na czystą stronę. Widok pustej strony uspokaja go. Rysowanie jest jedynym rodzajem papierkowej roboty, jakiej warto poświęcić czas. Siada tak, żeby nikt nie widział, co robi – tawerna na Poveglii nie jest miejscem dla artystów – i zaczyna szkicować wyimaginowany

świat umarłych. Pozwala, by węgiel poprowadził go z tawerny przez skorupę ziemską. Kreśli komnatę z czarnego marmuru i turmalinu, z kominkami ożywionymi przez ogromne jęzory ognia. Na pierwszym planie przedstawia postać ludzką, zagubioną w ogromie Hadesu: to zgarbiony wojownik w powgniatanej zbroi, znużony wojną i niekończącą się tułaczką. Odwraca drugą kartkę i szkicuje inną wersję, potem trzecią i czwartą.

Mija godzina, jedni klienci odpływają, inni zajmują ich miejsce. Wybucho kłótnia o worek z węgorzami: rybak oskarża jakiegoś mężczyznę o kradzież. Wymachują bronią; w czasie szamotaniny worek spada i jego zawartość wyslizguje się na podłogę – kilka żywych węgorzy trzepocze się wśród tych śniętych. Stworzenia nocy, jak zawsze je zwał ojciec Zorzo. Awantura cichnie, łodzie dobijają do przystani i odpływają, Zorzo co jakiś czas sprawdza, czy Tullo nie odpłynął (wciąż czeka, wciąż nietowarzystki). Deszcz to nasila się, chłoszcząc ziemię i wodę, to słabnie.

O trzeciej po południu Zorzo stwierdza, że nie może już dłużej czekać. Jest zły, że zmarnował pieniądze na podróż tutaj, a także cenny czas. Musi wrócić do Wenecji, by sprawdzić, jak *garzoni* radzą sobie z ucieraniem czerni, i zdążyć na bankiet u Contarinich. Płaci za piwo i pakuje torbę, gdy zauważa zbliżającą się łódź, kołyszącą się na boki. Małeńkie żagle szaleją na wietrze, mężczyzna balansuje na pokładzie, chłopiec kuca przy sterze. Zorzo z daleka rozpoznaje Caspiena z Ottem, młodym pomocnikiem, który zawsze z nim podróżuje. Oddycha z ulgą i wychodzi im na spotkanie.

Niedaleko brzegu Caspien krzyczy przez wiatr:

– *Guten Abend, mein guter Herr!*

Otto wyskakuje na płyciznę i znika w wodzie po ramiona, po czym gramoli się do brzegu, ciągnąc za sobą łódź. Caspien zawsze cumuje w połowie plaży, nigdy nie przy pomoście. Aby móc szybko się ulotnić, jak przypuszcza Zorzo.

– A więc zima wysłała swojego posła! – woła Caspien.

Jest szczupły i kanciasty, ma pokrytą bliznami twarz najemnika, ale nosi ekstrawaganckie ubranie, choć brudne, od szkarłatnej peleryny z futrzanym podbiciem i pasem po za duży kapelusz. Mówi szybko, z silnym niemieckim akcentem, lecz nikt dokładnie nie wie, skąd pochodzi.

– Myślałem, że jesteś jednym z trzech przybywających mędrców, którego zwało z kursu – mówi Zorzo.

– W istocie, podążam za własną gwiazdą. – Caspien kiwa głową, po czym ryczy na chłopca: – Nie do skały, bo się ześlizgnie! Przywiąż nas do tego drzewa. – Zeskakuje z łodzi, chwytając kufer i brnie do suchego łądu.

Kilka lat temu wpadł na pomysł, by spotkać się na Poveglii, i od tamtej pory układ pozostaje w mocy. Z lubością powtarza, że jest „poszukiwany” w Wenecji, choć nigdy nie wyjaśnił, przez kogo i za co. Oczywiście mogliby w miarę bezpiecznie widywać się na stałym łądzie, na przykład w Mestre, gdzie jest wiele ustronnych miejsc. Zorzo doszedł do wniosku, że Caspienowi podoba się dramatyzm „nawiedzonej” wyspy. Zdążył się też przekonać, że jest niesolidny i ma zwyczaj kłamać, ale dla niego było to bez znaczenia. Nie przejmowałby się, nawet gdyby Caspien okazał się szaleńcem czy mordercą. Liczyło się tylko to, że jest najlepszy w branży.

– Jak się masz, Otto? – zagaduje chłopca.

– Dobrze, panie – odpowiada chłopiec, mocując linę do gałęzi.

– Czy on cię dobrze traktuje? – pyta z powagą, ale otrzymuje kolejną wyuczoną odpowiedź.

– Tak, panie.

Zorzo lubi go; ujął go charakter chłopca, łagodny i pogodny, mimo niewdzięcznego życia, które sprowadza się do wiernego podążania za panem. Otto jest gotów na każde skinienie, ale Caspien szczeni mu choćby jednego dobrego słowa. Nie wiadomo,

skąd chłopak pochodzi, czy jest jego prawdziwym synem, czy tylko przybrany. „To wędrowny książę, który się nie starzeje”, powiedział kiedyś Caspien. Zorzo uznał to za dziwne, chociaż zauważył, że Otto naprawdę jakby wcale nie rośnie. Jest drobny i delikatny, co nie zmienia faktu, że musi tyrać jak wół.

– Nie masz płaszcza?

Otto ma na grzbiecie tylko koszulę i cienki kaftan, jedno i drugie przemoczone.

– Nie, panie.

– Nie słuchaj go – odzywa się Caspien, wychodząc na brzeg. – Czy on narzeka? Myślałby kto, że nigdy wcześniej nie żeglował ani nie widział adriatyckiego deszczu. – Stawia kufer i otrzepuje pelerynę z wody. – Dobry wieczór, signor Barbarelli. Spóźniłem się?

– Hm... – Zorzo wie, że bezstanie dostawcy na nic się nie zda, więc mówi tylko: – Źle będzie widać w tym świetle.

– Nieważne, nieważne. Dla ciebie, *mein Freund*, zostanę tu do rana. Kupimy trochę brandy i zagramy w karty – ruchem głowy wskazuje tawernę – o to, co morze wyrzuci na brzeg tej nocy.

– Nie mogę czekać do rana – mówi Zorzo. – Muszę wracać. – Nie wspomina, że poza wszystkim innym nie byłoby go też stać na opłacenie gondoliera. – Najlepiej załatwmy to teraz. Pod dachem jest sucho.

Odwraca się w stronę tawerny, ale Caspien go powstrzymuje.

– Napiję się tam, ale to wszystko. – Wskazuje oddalony od brzegu kościół na pagórku. – Tam znajdziemy schronienie.

Idzie pierwszy i przystaje w kruchcie. Zorzo podąża za nim. Przez otwarte drzwi widać zapuszczone wnętrza, przewrócone ławki i płyty tynku leżące na ziemi. Chłopiec przychodzi ostatni, dźwigając kufer, i stawia go na płaskich kamieniach. Caspien zawsze podróżuje z kufrem, w jakim sędziwy książę lub księżna mogliby przewozić klejnoty i szkło sto lat temu. To zdezelowany

prostopadłościan z czarnego dębu, szeroki na dwie stopy i głęboki na jedną, nabity nitami i wzmocniony pasami z żelaza.

Caspian wyławia spod kaftana złoty łańcuszek z kluczem, rozgląda się, czy nikt nie patrzy, i otwiera kufer. Przesuwa dłonią po drewnie, odpina kolejne zatrzaski i podnosi drugie wieko, odsłaniając tacę z wieloma kwadratowymi przegródkami. Zorzo jak zawsze patrzy z lekkim skurczem w sercu. Zapachy są znajome i intensywne: cuchnący moczem grynszpan, paląca w nosie siarka i ściółkowa woń korzenia marzanny. Każda przegródka zawiera inną substancję, owiniętą w papier albo wepchniętą do buteleczki: okruchy skał, matowe proszki, kawałki metalu, kostki zeschniętej ziemi, pokruszone kości, wysuszona kora – pigmenty w surowej postaci, ledwie zdradzające swoje sekrety. Zorzo nigdy nie pozbył się dreszczyku, który przebiega go na widok tych pozornie zwyczajnych substancji, będących zapowiedzią czarów. Widzi – bo szkolił się przez całe życie – sączące się z nich maleńkie strumyczki koloru: indygo, ultramaryna, cynober, żółta ochra, umbra palona, malachit. „Przeznaczeniem każdego koloru – jak często przypomina mu Caspian – jest uwolnienie się od swojego zwyczajnego początku i olśnienie świata”.

– Czego ci więc potrzeba? – pyta Caspian, podczas gdy jego chłopiec siedzi na progu kościoła i dla ogrzania się obejmuje rękami klatkę piersiową.

Zorzo wzrusza ramionami.

– Teoretycznie wszystkiego. Zapasy się kończą... – pozwala sobie na uśmiech – podobnie jak pieniądze.

Caspian się krzywi.

– Jak nam wszystkim, Herr Barbarelli. Może powiesz, czego potrzebujesz najbardziej?

– W szczególności zależy mi na błękitcie.

– Na błękitcie? Maniak błękitu. – Caspian wdycha. – Jak

wszyscy w tej epoce.

Zorzo temu nie przeczy. Słucha wywodu mężczyzny. Prawdziwy błękit, idealny błękit, bardziej niż jakikolwiek inny kolor ma moc zatrzymywania serc. Palce Caspiena suną nad przegródkami, zatrzymują się na jednej z nich.

– To bardzo dobra smalta. Z Konstantynopola.

– Smalta?

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Ta odmiana jest żywa, ma ciężar na płótnie i szybko wysycha. Jest nader żywa.

Zorzo przygląda się bliżej. Inni malarze, dobrzy malarze, nie wzdragają się przed używaniem smalty, on jednak uważa ten barwnik za podrzędny. Wydaje mu się sztuczny i nigdy nie może uwolnić się od świadomości, że w gruncie rzeczy to tłuczone szkło.

Widząc, że klient nie jest zachwycony, Caspien przechodzi dalej.

– Azuryt. – Bierze kilka kamyków i układa je na dłoni. – Wart trzy razy więcej, ale jest ładny i czysty. Ciepły szarawy błękit.

– Twój chłopak marznie – mówi Zorzo, patrząc na dygoczące chude ramiona Otta. – Powinien mieć jakieś okrycie.

– A miał – warczy Caspien. – Powiedz, bezmyślny gałganie, nie miałeś kaftana w Rzymie? Miał i pozwolił, by ktoś mu go zwędził na Piazza Navona. No to dostał nauczkę.

Słyszając, że o nim mowa, Otto trzęsie się jeszcze gwałtowniej. Zorzo zdejmuje swój kaftan.

– Weź to na razie.

– Nie, panie – mówi chłopiec i wybałusza oczy.

– Oddasz mi go, gdy wyschniesz. Wytrzymam kilka minut.

Otto wciąż odmawia, więc Zorzo kładzie kaftan na jego kolanach.

– Weź, proszę. – Czeka, nie dając mu wyboru. – Pasuje ci – dodaje z uśmiechem.

Kaftan jest za duży, ale odmienia chłopca – kołnierz w kolorze ciemnego cynamonu nadaje jego twarzy dystygowany wyraz. Zorzo bierze z dłoni Caspiena grudkę azurytu i unosi ją do światła.

– Szarawy, powiadasz? Nie jestem pewny.

– Trudny z ciebie klient. – Caspien zabiera kamień i odkłada go do przegródki. – Indygo? – Odkorkowuje szklaną fiolkę i pokazuje zgniecione suszone liście. – Z Kaukazu. Przypuszczam, że to odmiana urzetu, ale mógłby być prawie purpurą tyryjską. Bardzo królewski.

Zorzo byłby zainteresowany, gdyby to była prawdziwa purpura tyryjska, uzyskana z muszelek w jednym z najdłuższych procesów, jakie znają pracownie. Kręci głową.

– Barwniki roślinne są... – Szuka słów. – Brakuje im tajemnicy.

– Jestem pewien, że Masaccio nigdy nie miał powodów, by na nie narzekać. – Caspien mocno korkuje fiolkę. – Ani Perugino, ani Michał Anioł, jeśli o to chodzi. – Robi głęboki wdech i zaczyna od nowa. – W takim razie inne kolory. Mam karminowe jezioro, najlepsze od lat. Nader dramatyczne. – Odwija jedną z papierowych paczuszek, by pokazać mokrą szkarłatną kredę. – Kermes, czerwce z pruskich dębów. Subtelniejszy niż koszenila. Wyjątkowy ton.

Już ma pokazać barwnik, gdy Zorzo unosi rękę.

– Caspien, szczerze mówiąc, wszystko to mogę znaleźć u każdego *vendecolori* na placu Świętego Marka. Przychodzę tu i czekam godzinami na zimnie, i cieszę się, że mogę czekać, bo jesteś mistrzem w Europie i nie masz sobie równych.

To prawda, bo poza snuciem niestworzonych historii Caspien potrafi zdobywać najprawdziwsze skarby, pigmenty, które są czymś więcej niż tylko kolorem: są nastrojem, wojną, kobietą.

– Więc dość marnowania czasu. – Zorzo stuka w dno kufra. – A co masz tutaj?

Caspien uśmiecha się.

- Same kosztowności.
- Czy marzyciel mógłby choć zerknąć?

Ostry podmuch szerzej otwiera drzwi kościoła. Drugi poryw sprawia, że bije dzwon na wieży. Mężczyźni unoszą wzrok, gdy echo odbija się od ścian.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze dzwonią – mówi Zorzo.

Caspień rozgląda się, po czym zdejmuje środkową część tacy, by odsłonić ukryty pod nią schowek, wyłożony aksamitem, i wyciąga stamtąd pudełko.

– Lazuryt – szepcze, unosząc wieczko. – Ultramaryna, najlepsza, z kopalni Kokcza w Afganistanie.

Zorzowi jeżą się włoski na karku, gdy chłonie wzrokiem charakterystyczny głęboki błękit zmielonego lapis-lazuli. To nie jest fałszywy pigment, barwnik roślinny czy matowe szkło. W pudełku została jednak ledwie szczypta minerału.

– To resztką, więcej nie mam – mówi Caspień. – Ale mogę ci ją odstąpić za pięćdziesiąt soldów.

– Pięćdziesiąt soldów? Tyle mam na wszystko. Pięćdziesiąt za tę odrobinę? – Zorzo przechyla pudełko pod światło i lapis przesypuje się niczym płynne złoto.

– Ponieważ jesteś przyjacielem, dorzucę paczkę czerwonej kredy, tej samej, której używa Leonardo.

Zorzo rachuje w głowie. Za pięćdziesiąt soldów mógłby kupić całą paletę kolorów w każdym sklepie z materiałami malarskimi w mieście i starczyłoby mu jeszcze na opłacenie przynajmniej kilku rachunków. Ale rozsądek nie ma tu nic do rzeczy. Ultramarynie nie można odmówić. Wyciąga sakiewkę, odlicza pieniądze i wręcza je Caspiewi.

- Ktoś tu idzie. – Caspień wzdryga się. – Daj mi swoją sakiewkę.

Od strony ciemnej części wyspy w kierunku kościoła zmierza dwóch mężczyzn. Caspień wkłada monety i sakiewkę Zorza

do kufra, zamyka go i wyciąga sztylet zza pasa. Nieznajomi nie zwalniają ani nie zmieniają kierunku i zatrzymują się dopiero wtedy, gdy widzą, że w kruchcie są ludzie. Zorzo, teraz wyprostowany, jest o głowę wyższy od nich. Przyciąga do siebie Otta i przez krótką chwilę wszyscy stoją w milczeniu.

– Dobry wieczór – odzywa się Caspien, trzymając sztylet poza zasięgiem ich wzroku.

To strażnicy miejsca, brodaci i twardzi, uzbrojeni w miecze. Prawie na pewno są dezterterami,którzyschronili się na zewnętrznych wyspach i czekają w ukryciu, aż pamięć o nich przeminie.

– Jeśli przyszlicie na wieczorne modlitwy – Caspien ruchem głowy wskazuje wyłamane drzwi – to za późno o dwa stulecia.

Spoglądają na chłopca, potem na kufer.

– Szukamy schronienia – rzuca jeden.

– Cóż, rozgoście się. – Caspien wskazuje wnętrze kościoła.

Mężczyźni ociągają się; pięć par oczu wpatruje się w kufer.

– To tylko utensylia do malowania – wyjaśnia Otto, wchodząc w światło i wskazując kolejno Caspiena i Zorza. – Ten człowiek sprzedaje pigmenty, a ten nimi maluje.

Jeden z przybyszów kiwa głową i obaj wchodzą do kościoła. Zorzo patrzy na chłopca z nowym podziwem – nie dziwota, że Caspien trzyma go przy sobie: jak ktoś mógłby sprawić mu kłopoty, widząc tego malca?

Caspien czeka, aż mężczyźni znajdą się poza zasięgiem słuchu, i chowa sztylet.

– Cofam moje słowa – mówi. – Pójdźmy do tawerny. Może jednak w tłumie bezpieczniej. – Otwiera kufer i wyjmuje sakiewkę Zorza. – Twoje pieniądze, panie. – Waży ją w dłoni i dopiero potem oddaje. – Jesteś bogatszy, niż powiadasz.

– Mam całą torbę rachunków, które dowodzą czegoś innego.

– Oczywiście, oczywiście. – Caspien ściąga kapelusz i

przeczesa palcami skołtunione włosy, przez chwilę zagubiony w myślach, po czym oznajmia radośnie: – Mało nie zapomniałem. Mam ci historię do opowiedzenia, *mein Freund*. O sekrecie, który cię oczaruje. O kolorze, którego nikt nigdy nie widział, a który może być cenniejszy nawet niż ultramaryna. Może pójdziemy do gospody, abym mógł ucieszyć twoje uszy?

– Co masz na myśli, mówiąc o kolorze, którego nikt nigdy nie widział?

– Dokładnie to, co mówię.

Słowa Caspiena wzbudzają zainteresowanie Zorza. Kolejny podmuch wiatru, silniejszy niż dotychczasowe, znów wprawia w ruch stare dzwony. Ich dźwięk niesie się po całej wyspie i Zorza przebiega drżenie. Uważnie przygląda się swojemu towarzyszowi, po czym mruży oczy w uśmiechu.

– Prowadź.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).